

Dobre duchy rządzą Samotnią

2010-12-23 14:41:37, aktualizacja: **Gazeta Alina Gierak**
2010-12-23 14:42:52

Każdy, kto przyjedzie w Karkonosze, nie wyjedzie bez odwiedzenia schroniska Samotnia. Gdy tylko przekroczy jego próg, poczuje się jak w domu. To za sprawą rodziny Siemaszków, która od 44 lat prowadzi to schronisko - pisze Alina Gierak

Kim są gospodarze kultowego schroniska, którzy od ponad czterech dekad dają schronienie turystom na karkonoskich szlakach?

Waldek z Samotni,

czyli Waldemar Siemaszko, który odkąd przeprowadził się w latach 50. do Cieplic i rozpoczął wędrowki po górach, pokochał Karkonosze miłością bezwzględną. Podporządkował im całe życie. Był przewodnikiem sudeckim, ratownikiem górskim, szkolił się w alpejskim ośrodku lawinowym w Davos w Szwajcarii i był jednym z nielicznych specjalistów w Polsce od lawin. Ale przede wszystkim był gospodarzem Samotni.

Obejmował w 1966 roku schronisko w opłakanym stanie. Jak wspominają turyści, na naprawy i doprowadzenie zabytkowego budynku do jako takiego stanu wydawał własne pieniądze. Nie żałował, bo spełniał swoje marzenia o gospodarzeniu w schronisku pełnym ciepła, humoru, ciekawych ludzi. Dzisiaj o takim miejscu mówi się - kultowe. Pod jednym dachem spotykali się profesorowie, sportowcy, partyjni bonzowie, artyści. Po wędrowkach po górach w schronisku grzali się przy kaloryferach i topnieli w domowej atmosferze, którą stwarzali Siemaszkowie.

We wspomnieniach turystów przewija się bez przerwy Waldek i jego pomysły. A to 11 listopada, gdy odbywały się zjazdy ludzi zasłużonych dla schroniska, a to święta, wigilie i mikołaje lepsze niekiedy od rodzinnych, a to zawody narciarskie o Puchar Samotni. Bez Waldka nie byłoby nic możliwe. Zawsze uśmiechnięty, sam witał turystów - każdy czuł się od razu jak oczekiwany gość. Miał też ogromne serce. Bywalcy do dziś wspominają, jak przez wiele miesięcy w schronisku mieszkał Egon Myśliwiec - zjazdowiec, który przygotowywał się do mistrzostw świata i trenował w żlebie naprzeciwko schroniska.

Samotnia była zawsze pełna ludzi, przyjaciół, ich dzieci i przypadkowych turystów. Dla wszystkich szokiem była nieoczekiwana śmierć Waldemara Siemaszki. Zginął w wieku 63 lat w wypadku samochodowym, w miejscu, które znał jak własną kieszeń, koło świątyni Wang, na oblodzonej drodze. Ludzie gór pamiętają o nim zawsze.

Pani Sylwia, żona Waldka

Namówić ją na rozmowę jest bardzo trudno. Na zdjęcie - niemożliwe. O tym uprzedzają mnie najbliżsi, a zięć Marek obiecuje poszukać w albumie choć jedno zdjęcie mamy z wnuczkami...

- Bez pani Sylwii schronisko rozpadłoby się - mówią bywalcy Samotni. - Waldek był na pierwszym planie, wszędzie go było pełno, ale to ona trzymała wszystko w garści. Wiedziała, ilu gości będzie, co im da jeść, ile zapasów jest w magazynie, czy nie zabraknie czystej pościeli.

- Nigdy nie była na pierwszym planie, zawsze w cieniu męża, spokojna, uśmiechnięta, konkretna - opowiada o pani Sylwii Janusz Turowski, turysta z Wrocławia, przyjaciel Samotni od lat 60. Pani Sylwia celowo usuwała się w cień, choć bez niej schronisko nie funkcjonowałoby. Ale nie chce o tym opowiadać i tylko możemy domyślać się, jak trudno było jej wychować na górze córkę, gdy równocześnie trzeba było wydać dziesiątki obiadów, dopilnować sprzątanía pokoi i porozmawiać z gośćmi. Ale udawało się jej to znakomicie. Nie straciła ponadto ani na moment niemal dziecięcego zachłyśnięcia się urodą miejsca, w którym przyszło jej spędzać większość życia.

Jak opowiada Magda, jej córka, mama słyszy, jak skrzypią stare deski schroniska i wciąż ją to zachwyca. Pani Sylwia nie opowiada o tym, jak po śmierci męża zawalił się jej świat. Tego możemy się tylko domyślać. I tych rozterek, które musiały nią targać. Co robić? Zjechać na dół do Karpacza i tu próbować na nowo? Zostać w Samotni i dalej ją prowadzić? Decyzję podjęły razem z Magdą. Zostają. Bo nie można zmarnować dzieła Waldka.

Szesnaście lat po śmierci męża pani Sylwia robi w schronisku to, co zawsze. Dbą o kuchnię, pokoje, aprowizację. Wszystko dojrzy i ma baczenie na każdego. Bo turysta widzi tylko piękną okolicę schroniska, zabytkowe wnętrza, bar, ciepłą herbatę...

Magda Arcimowicz, córka Waldka i Sylwii, żona Marka

Szczupła, wesoła blondynka, konkretna, nie gadatliwa. Rozkręca się wyraźnie, gdy opowiada o dzieciach i wyprawach z mężem, Markiem Arcimowiczem. O Samotni nie mówi za dużo. Dzieciństwo spędzone w schronisku to dla niej normalna sprawa. Najodleglejsze wspomnienia: ona w kojcu postawionym przed Małym Stawem, przed schroniskiem.

- A może widziałam to tylko na zdjęciach? - zastanawia się dzisiaj. Fakt - nie lubi kojców i jej dzieci Kostek i Marysia w nich nie siedziały. Drugie wspomnienie z dzieciństwa: ratownik górski o przywisku Szatan, który na nartach zjeżdżał z Samotni po mleko dla niej. Narty oraz konie to był wówczas najpopularniejszy sposób transportu. Auto z napędem na cztery koła i skuter śnieżny to już teraz nieaktualne. I wcale nie taka wspaniała. Bo bywa, że śniegu jest za dużo na samochód, a za mało na skuter. Pozostają nogi. Najpopularniejszą trasą do Samotni spod świątyni Wang zwykły turysta idzie około godziny. Zimą półtorej lub dłużej, o ile droga jest udeptana. Magda nie wybierała schroniska do życia. To był wybór jej rodziców. Ich ukochana praca i pasja. Chuchali na każdą zabytkową deskę w schronisku, choć wcale nie było ich, i nadal jest dzierzawione od PTTK.



Marek, Magda, Marysia i Kostek
(© Fot. Marcin Oliva Soto)